

L A U R A

Adori

Owoce
Lukrecji

Jak uwolnić uczucie i nie uwięzić samej siebie?

Owoce
Lukrecji

L A U R A
Adori

Owoce
Lukrecji

Lira Publishing Sp. z o.o.
Wydanie pierwsze
Warszawa 2017
ISBN: 978-83-65838-03-2

ROZDZIAŁ 1

*Jeśli boisz się eksplozji,
sama zrób jakiś wybuch*

Szukasz ciepła? Zamiast się dręczyć, po prostu podkręć ogrzewanie. Najlepiej to we własnym ciele, w okolicach pępka. Użyj oddechu lub czułych myśli na swój temat. Pierwsze siwe włosy to dowód, że miałaś już szansę usłyszeć tę podniecającą teorię: to, co myślisz o sobie, decyduje o tym, jak odbierają cię inni. Nieraz zapewne unosiłaś się nad ziemią, wcielając ją w życie. Dlaczego teraz, podtopiona samotnością we własnej wannie, nie uchwycisz się

jej jak koła ratunkowego? Tylko w kolejny sobotni wieczór, wdychając lawendową woń świec, sączysz kieliszek prosecco i analizujesz gęstość bąbelków. To jest właśnie to, czego singielki nie lubią najbardziej, a robią częściej, niż się do tego przyznają. No ale ty? Nowa, lepsza ty przecież już nie jesteś singielką. A w każdym razie tak ci się zdawało... od dobrych dwóch tygodni.

Ciepły wiatr porusza zasłoną delikatnie, jak tamtego dnia poruszał moją sukienką, gdy na rogu ulicy w dobiegający zza witryny zapach palonej kawy wmieszała się żywiczna woń, pogłębiona mszystymi nutami i cytrusowym akordem. Ktoś, kto używa tak wyrafinowanej mieszanki nowoczesnych molekuł i czegoś, co przywodzi na myśl stylowe szyprzy, nie może być pospolitym hipsterem, artystą bez aspiracji czy jakimś imitatorem życia — pomyślałam. Intuicja mnie nie zawiodła. Sama nie wiem, skąd miałam wtedy odwagę, by zaprosić go jako brakującego męski element na kolację dla singli. Zaraz po niej był SMS i propozycja, byśmy wybrali się razem do Hali Mirowskiej po jaja od kur, które niosą się przy dźwiękach muzyki klasycznej. Czy muszę dodawać, że urzekł mnie fantazją? Potem był spacer między posągami w ogrodzie Saskim i gra w słowa, które przywołują kontrastowe smaki. Na moje borówki

odpowiedział słoną czubricą. Gdy rzuciłam: anchois, zaserwował anyż, a ja poczułam, że eksplozja zmysłów nadciąga z nieujarzmioną siłą. Miał na sobie starannie wyprasowaną białą koszulę w kolorowe papugi. Wnosiła jednocześnie słońce egzotycznych wysp i przewrotny szyk wielkomiejskiego życia. Zwieńczeniem spaceru była Ipanema, zmysłowa jak plaża w Rio de Janeiro o tej samej nazwie, porcja musu z orzechów laskowych z kremem marakujowym i pralinowym lukrem. Jadł powoli, celebrując każdą warstwę słodyczy, a ja zerkałam w jego ciemnobrązowe oczy. Płonęły. Czułam, jak bulgocze mi w żołądku, i modliłam się, żeby ten akompaniament nie przedarł się przez powłokę obcisłej sukienki.

Tydzień później zabrał mnie na spacer przez Wisłę, a potem na białe wino w restauracji Biała na Saskiej Kępie. Wchodząc, powiedział: „Poproszę, żeby puścili dla nas bossa novę, pasuje do tego popołudnia”. Pasowała, nie tylko ona. Pasowało wszystko. Nawet wiatr. Po powrocie do domu zadałam pytanie chińskiej wyroczni I Ching, czy to się dzieje naprawdę, czy może znów projektuję na kogoś swoje marzenia. Wypadł heksagram 51: *Wstrząs. Piorun na górze i piorun na dole. Niespodzianka wywróci twoje życie do góry nogami. Bądź przygotowana na wszystko. Nie trać jednak kontroli nad swoim życiem.*

Dlaczego więc po szesnastu dniach rozbudzonych nadziei wyleguję się samotnie w wannie? Przecież jeszcze wczoraj, spacerując po Łazienkach, obiecywał skonstruować dla mnie rozpraszacz chmur, który za pomocą małej rury do przepływu energii odmieni aurę tego chmurnego czerwca. Dźwięk telefonu poderwał mnie na równe nogi. Czyżby Konstanty jednak wybrał mnie? Kieliszek wypadł mi z rąk. Zlekceważyłam jego brzęk i rozchlapując wodę, popędziłam do torebki.

— Jak życie i okolice, *my dear*? — zaczęła Wera. — Mam nadzieję, że jesteś jeszcze przy pudrowaniu nosa, a nie przy aperitifie?

— Jestem na dnie wanny, *bella* — wymamrotałam.

— Czyżby Konstanty zatonął? — na wpół żartobliwie rzuciła Wera.

— Na razie trafiło-zatopiło plan wspólnej kolacji, ale kto wie. Zresztą, Weri, bądźmy realistkami, jeśli facet na cztery randki odwołał już drugą, to chyba...

— Odwołał czy przesunął? Bo tydzień temu mówiłaś przecież, że to chodzenie pod mostem...

— Nie pod mostem, tylko po moście.

— Pod niebem, po moście, niech będzie. Ważne, że tylko przesunął na następny dzień, a to się liczy wyłącznie w kategoriach „bardzo mu zależało,

ale...”. — Wera jak zwykle szukała sposobów na pocieszenie. — Lukrusiu, sama wiesz, jak to bywa w świecie interesów, nieoczekiwanie ktoś coś przedstawia, a ty musisz być elastyczna, bo inaczej wszystko runie — zawiesiła głos.

— Tylko, Wera, dlaczego zawsze to ja mam być elastyczna? — jęknęłam.

— Jakże zawsze? Zlituj się, dopiero drugi raz.

— Jak mawia popowa bogini męskiej wyobraźni: drugą szansę mężczyzna może dostać, ale od drugiej kobiety — zażartowałam.

— Demonizujesz! No, chyba że to pracoholik? — rzuciła podejrzliwie Wera.

— Skąd! Mówiłam ci, że on jest zenistyczno-metodyczny i przepracował już temat balansu między pracą a życiem.

— Słuchaj, a czy on nie jest spod ryb? Bo wtedy to wiesz, zmienność zodiakalnych ryb będzie silniejsza od niego i trudno mieć o to pretensje. Będzie się ciągle wahał.

— Ale on się nie waha.

— Słuchaj, a może on jest w roku siódemki? To jeszcze wyższy stopień utrudnienia, bo będzie aktualnie szukał głębi wewnętrznej i do tego udawał, że wcale tego nie robi. To byłby niefart. Brrr... Znasz jego datę urodzenia?

— Weruś, daj spokój. Na pewno nie jest w siódemce i nie jest wahliwy, nie ma syndromu pracoholika, seksoholika ani kryzysu wieku średniego — wyrecytowałam, kierując się w stronę wanny, bo poczułam, że chodzenie nago po pokoju z ciekącą po plecach wodą w połączeniu z moim stanem ducha zaczęło wywoływać niemiłe dreszcze.

Zapadła chwila ciszy. Miałam wrażenie, że moja empatyczna przyjaciółka ma na końcu języka jakieś pytanie ciężkiego kalibru, ale miota się, nie wiedząc, czy może je zadać. Wera w odróżnieniu od Claudynki była mistrzynią taktu.

— O, w mordę! — wrzasnęłam, nadziewając się w łazience na ułamek szkła ze stłuczonego kieliszka.

— Żyjesz?! — zaniepokoiła się Wera.

Oszczędziłam jej detali o krwawiącej stopie. Obłożyłam ranę mokrymi wacikami i zaczęłam zmiatać szkło, starając się za żadne skarby nie doszukiwać się w tym potłuczonym kieliszku metafory swojej dopiero co zaczętej relacji z Konstantym. Odkąd przestałam zaglądać w karty tarota, przerzuciwszy się na internetową stronę z wyroczniami I Ching, zdałam sobie sprawę, że każda przepowiednia może działać na twoją korzyść, wystarczy tylko odpowiednio ją przeczytać.

— Wera, a może on tylko chciał mnie przelecieć? — powiedziałam rozgoryczona.

— Przecież nawet się nie całowaliście.

— No właśnie, czy to nie dziwne?

— Może i dziwne, ale wyklucza motyw przeleciaenia.

— A może chciał, ale się rozmyślił? — wydusiłam z siebie wreszcie dręczące mnie od kilku godzin podejrzenie.

— Ale czy wspominał, że...

— Nie, nie, nie i jeszcze raz nie. Jeśli o to chodzi, to nie napomknął jak jakiś dupek z Tindera, że po trzech spotkaniach musi sobie coś przemyśleć — prawie krzyknęłam.

— Gej? — wyszeptała Wera.

— Nie! — jęknęłam. — Stój!

— Proszę?

— *Pardon*, nie do ciebie, *bella* — wyjaśniłam, próbując spacyfikować rozchlapującego wodę buldożka, który wkroczył na teren rozbitych resztek. — Wyłaż, ale już! I nie chlap. Spokój!

— Zaburzenia erekcji? — kontynuowała przyjaciółka.

— Weruś!

— To musi być żona! — Podekscytowała się.

— Tak czułam, to było zbyt romantyczne, co o nim

opowiadałaś. No i wiesz, ten jego zadbane *look*. Single nie prasują koszul.

— Jest po rozwodzie, mówiłam ci.

— Może ma porozwodowy ciąg alkoholowy?

— Jeśli lubiący życie, atrakcyjny, zrównoważony czterdziestodwuletni heteryk nie ma ciągu alkoholowego i nie ma żony, możesz być pewna, że ma coś, co pochłania go bardziej niż najbardziej absorbująca żona pod słońcem — wyrecytowałam jak formułkę z poradników z cyklu: jak rozszyfrować faceta.

— Szykuje się do maratonu?

— Niestety, nie biega — westchnęłam. — Przyczyna mojej samotności ma dwanaście lat i na imię Lena.

Wera była bezdzietną singielką, ale równie dobrze jak ja wiedziała, że żadne sportowe wyzwanie na świecie nie umywa się do ambicji rodzicielskich wrażliwego tatusia, który próbuje wynagrodzić swojej ukochanej córce fakt, że rozstał się z jej mamusią. Może dlatego nie zadała żadnych pytań o osobowość Lenki i szczegóły ich relacji. Rzuciła tylko, że dziś na Saskiej Kępie jej klient, adwokat z wyraźnym potencjałem rozrywkowym, urządza parapetówkę. W pięknym domu, który niedawno nabył za jej pośrednictwem. Właśnie się do niego wybiera, więc przyjechałaby po mnie za kwadrans, gdybym tylko

zechciała wynurzyć się wreszcie z wanny pełnej domysłów i rozterek. O niczym bardziej nie marzyłam.

Moje stopy, ta najintymniejsza część ciała wystawiana latem na tacy wygłodniałym oczom jak aperitif dla wyobraźni, nie dość, że rozmoczone przydługą kąpielą prezentowały się jak pergamin po deszczu, miały jeszcze po lewej stronie ohydny ślad po szkle. Syberyjski olejek z cytryńca chińskiego i cedru wcierany łagodnymi ruchami przywracał skórze nawilżenie, ale nalepiony plaster pozbawił mnie szans na seksowne sandałki na koturnach. Wciskając się w turkusowe szpilki, poczułam nieprzyjemny skurcz. Nie wywołała go rana ukryta pod plastrem, lecz nagły przebłysk, że to dziwne sfalbanienie wokół pięt to wcale nie musi być tylko rezultat rozmoczenia. Bo co, jeśli starość zaczyna się właśnie tutaj? Marszczą się brzegi stóp, łączące nas z ziemią, natrętnie alarmując, że składamy się z minerałów, które z wiekiem kruszeją, i z płynów, pod wpływem lat wysychających w nas jak nasze niespełnione marzenia o barwnym życiu.

Domofon i szczekanie rozradowanego Dolcevita wyrwały mnie z budzącej się właśnie starczofobii. Wera wparowała do środka jak torpeda. A raczej jak niebieski meteoryt. W zwiewnej sukience z błękitną falbaną falującą poniżej ramion, z odsłoniętą

łabędzią szyją i jaskrawoceglastymi ustami wyglądała jak bogini wszelkiej namiętności.

— Woow, *bella*, onieśmielasz! A do tego... —
Z zachwytem zbliżyłam nos do obojczyka Wery.
— Czuję nowość! Jaśmin przełamany bergamotką, piżmo, czyżby zaplątał się tu też jakiś fiołek? O, madonna! Cóż to za rozkoszna słona słodycz?

— Mój nowy uwodziciel, Mr Frédéric Malle.

— Chyba jest i drzewo sandałowe. Piękne. Leżą na tobie, jakby właśnie dla ciebie powstały.

— Dzięki, królowo zmysłów.

Wera z czułością wytarosiła buldożka, a ja podpięłam grzywkę i boki w minikoczek, by uczynić bardziej widocznym mój nowy, ekstrawagantki naszyjnik, imitujący liście cukrowego groszku w strąkach. Zbiegłyśmy po schodach, komplementując nawzajem nasze kreacje. Czerwcowy wieczór otulał miasto wspomnieniem niedawnego deszczu, utrzymując w powietrzu miłą rześkość. Nieliczni poszukiwacze wrażeń zmierzali w stronę placu Zbawiciela, skąd dobiegały odgłosy nocnego życia. Jakiś brodacze w koszulce z napisem „*Less dress, more sex*” adekwatnie do manifestu prowadził wtuloną w niego dziewczynę w sukience, spod której wyłaniały się całe uda i zaczątki bielizny. Byli tacy piękni w tej swojej synchronizacji, że cmoknęłam

do nich z uznaniem. Spojrzeli na mnie zdumieni i bez słowa poszli dalej. Wybuchnęliśmy śmiechem.

— Czy to się nazywa różnica pokoleniowa? — zażartowałam, zaskoczona i ubawiona jednocześnie.

— Raczej różnica temperamentów — rzuciła Wera i odpaliła dynamicznie auto.

* * *

Ulica Francuska w niczym nie przypominała starej, lirycznej Saskiej Kępy, po której mogłaby się snuć jakaś rzucona przez narzeczonego Małgośka albo rozczarowana facetami Mariola. W knajpkach dzwoniły kieliszki, brzęczały sztućce, roześmiane dziewczyny przekrzykiwały się nawzajem, towarzyszący im faceci próbowali wejść im w słowo. Na wysokości odremontowanej starej willi zaprojektowanej przez Korngolda, na skrzyżowaniu z ulicą Zwycięzców, zatrzymałam się na chwilę. Wewnątrz mieściła się restauracja, z której docierał zapach przyjemnego winnego sosu. To tu byliśmy tydzień temu na winie. Czy los naprawdę musiał mnie pchnąć w ten sam rewir? Przeszliśmy na drugą stronę ulicy i po chwili znalazłyśmy się w pięknym ogrodzie. Gęsta

roślinność całkowicie izolowała odgłosy ulicy. Białe lampiony rozwieszane wzdłuż ogrodzenia tworzyły magiczną poświatę.

— Fajna obroża.

— Proszę? — Nie byłam pewna, czy dobrze usłyszałam.

— Aż się prosi, żeby chwycić i zawładnąć — zagaił mnie jakiś wstawiony pan w zbyt głęboko rozpiętej koszuli.

— Właściciel na szczęście jest trochę dowcipniejszy — szepnęła Wera i pociągnęła mnie za rękę, kierując się w stronę stołu ustawionego pod rozłożystym kasztanowcem.

Jeszcze nie wiedziałam, czy jest dowcipny, ale już byłam pod wrażeniem jego wzroku. Do tego miał niezwykle uwodzicielski głos, którym serdecznie nas przywitał. Wera szybko rzuciła „przepraszam”, zaatakowana wylewnym uściskiem efektownej blondynki, która najwyraźniej też była jej klientką, i odbiła w bok, wdając się w jakąś rozmowę o nieruchomościach.

— Jestem zaszczycony, słyszałem, że masz najczulsze podniebienie w mieście i wielki talent kulinarny — zaczął, jak przystało na mistrza kurtuazji, i nalał mi szampana. — Mam nadzieję, że kucharz, który zadbał o nasz wieczór, cię nie rozczaruje.

— Przyjemność odczuwania smaków tylko w części zależy od kucharza — zawiesiłam tajemniczo głos, a adwokat zawiesił spojrzenie na moim naszyjniku.

— Czy te wyrafinowane fasolki to jakaś zachęta?

— To groszek.

— O, *pardon*. Jadalny?

— Cukrowy.

— A czym się różni od zielonego?

— Słodyczą.

— Brzmi podniecająco. Jak bardzo jest słodki?

— Najsłodszy — urwałam na moment. — W towarzystwie warzyw. Nie wytwarza twardej wyściółki pergaminowej, która tak nas dręczy w tym zwykłym.

— Nie mogę się powstrzymać przed zjedzeniem jakiejś słodyczy w twoim wykonaniu — jeszcze bardziej zniżył głos i jeszcze głębiej się nachylił.

— Na pewno będzie okazja.

— Nie lubię czekać — już prawie szeptał mi do ucha.

Chyba miałam ambicję, żeby rzucić jakąś dowcipną ripostę, ale poczułam, jak lekko uginają się pode mną kolana, a miednica miękko się luzuje. Przyjemna drzewna nuta jego zapachu wdarła się do mojego ciała przez skórę dekoltu, szyję, ramiona

i zupełnie mnie obezwładniła. Przymknęłam lekko oczy.

— No, jesteś, Karol, chodźże wreszcie, moja prezes przyjechała, musisz ją pobajerować — syknęła jakaś blondynka, smukła jak trzcina i chłodna jak skandynawskie morze.

Wyglądała na tą, która zarządza losem szarmanckiego Karolka. Pociągnęła go tak gwałtownie, że zdążył jedynie rzucić mi głupawy półuśmiech, który miał chyba znaczyć: żegnaj kotku, miło było. No cóż, jak mawiała nieodżałowana ciotka Aurelia: *Przystojny mężczyzna otworzy ci oczy, inteligentny umysł, a dżentelmen serce*. Chwilowo zmuszona poprzestać na zamknięciu pierwszego otwarcia, rozjrzałam się za Werą. Najwyraźniej pochłonął ją bardziej obiecujący wariant otwierania, bo nigdzie nie było jej widać. Zdecydowałam się sprawdzić, co urodziwy mecenas Karolek, a może raczej jego dynamiczna blondynka, wybrał na kulinarne tło wieczoru. Stół robił wrażenie. Bakłażany nadziewane orzeszkami pinii, od których zaczęłam, nie zawiodły mnie. Delikatne, o świetnej konsystencji, w idealnej chwili wyjęte z piekarnika. Aromatyczny rozmaryn, którego zapach docierał znad jagnięciny, nęcił do wykonania kolejnego ruchu widelcem. Ale skusiła mnie jeszcze nadziewana papryczka.

Klasyk — z cebulą, fetą, pieprzem. Pikantność papryczek z wyczuciem przełamana przyjemnym posmakiem kolendry. Było też modne w tym sezonie ceviche — ryba marynowana w soku z limonki, ale zostawiłam ją sobie na później. Tymczasem sięgnęłam po jagnięcinę.

— Mięsożerczyni o tak łagodnym wyrazie twarzy? — usłyszałam zza ramienia.

— Czyżby wegetarianin z zacięciem do tępienia zwolenników odmiennych rozkoszy? — rzuciłam zaczepnie, odwracając głowę.

Mężczyzna, który wyrósł mi przed nosem, nie był tym, który otwiera kobiecie oczy, ale miał niezwykle przenikliwe spojrzenie i coś tak ciepłego w uśmiechu, że trudno było oderwać wzrok od jego twarzy. Postanowiłam więc zaryzykować minutę uwagi. Zawsze warto sprawdzić, czy nie trafiło się właśnie na kogoś godnego chwilowego otwarcia umysłu. Otwierania serca nie brałam pod uwagę.

— Czy to nie nonszalancja łączyć oprószone ziołami zabite jagnię z rozkoszą? — zapytał prowokująco, nie tracąc uśmiechu.

— Gdyż?

— Skoro już wiemy, że zdolność odczuwania nie jest zarezerwowana tylko dla ludzi, czy można tak po prostu zjadać kogoś, kto żył i czuł, że

żyje? — ciągnął dalej, a ja byłam coraz bardziej za-
intrygowana dziwną mieszanką siły i delikatności,
które w doskonale harmonijny sposób współistniały
w tym facecie.

— Ja nie tylko jadam.

— Mordujesz?

— Tylko mężczyzn — szepnęłam. — Jeśli chodzi
o zwierzęta, to czasem maczam palce w tym, by jedli
je inni — zaatakowałam, ale niegroźnie.

— To znaczy?

— Przyrządzam.

— Niewinnego baranka dusisz w sosach?

— Akurat jagnięcinę bardzo lubię w kiszonej ka-
puście, przesyconą aromatem suszonych borowic-
ków w czerwonym winie, do tego słodycz żurawiny,
pachnący akacją miód, rozmaryn, kminek, świeży
majeranek.

— Brrr... paskudztwo.

— Zupełny odlot, o którym nie śnili wegeorto-
doksi.

— Mięso mnie odrzuca, ale twoja zdolność rozko-
szowania się smakami robi wrażenie. Pytanie tylko,
czy hedonizm nie jest już *passé* w erze transformacji
duchowości? — zawiesił zaczepnie głos. — Może
wody?

— Dziękuję, piję wino.